

Maria Andrzejewska, Aleksander Pawłowicz

DO ZOBACZENIA W KRAJU!

SPLĄTANE LOSY PEWNEJ RODZINY

Redakcja i opracowanie naukowe:
Justyna Owłasiuk, Marcin Zwolski

Białystok 2019

Do zobaczenia w kraju! Splątane losy pewnej rodziny

© Muzeum Pamięci Sybiru

Fotografia wykorzystana na okładce: Maria, Aleksander, Elżbieta, Hanka, Zbigniew Pawłowicz, lata 30. XX wieku, Perzyny; ze zbiorów Anny Klegon i Haliny Tarud-Brodowskiej

Fotografie ze stron: 34, 62–63, 65, 67, 90, 96, 102–103, 118, 126 pochodzą ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru, dar Sławomira Szelewicza

Fotografie ze stron: 15–19, 51, 54–55, 57–58, 64, 99, 101, 107, 112, 114–115, 117, 120, 123–127 pochodzą ze zbiorów Anny Klegon i Haliny Tarud-Brodowskiej

Książkę do druku opiniował: prof. dr hab. Eugeniusz Mironowicz

Redakcja i opracowanie naukowe: Justyna Owłasiuk, Marcin Zwolski

Przepisanie rękopisu dziennika: Justyna Owłasiuk, Stanisław Szelewicz

Przepisanie rękopisu wspomnień: Anna Klegon, Halina Tarud-Brodowska

Korekta: Justyna Owłasiuk, Marcin Zwolski

Projekt okładki: Iwona Kolasińska

Opracowanie map: Paweł Kalisz, Piotr Popławski

Projekt, skład i druk: Drukarnia Biały Kruk Milewscy sp.j.

Seria wydawnicza Muzeum Pamięci Sybiru: Wspomnienia i relacje, tom 3

ISBN: 978-83-953097-9-3

Spis treści

Wstęp	7
Dzieciństwo.	15
Wybuch wojny.	19
Aresztowanie ojca	31
Deportacja.	37
Przyjazd na Kwitok	43
Śmierć Eluni	51
Przyjazd mamy	55
Wojsko.	61
Kolejne lato	77
Z nowym rokiem.	93
Drugie wojsko.	109
<i>(prawie)</i> Razem	117

Wstęp

Seria „Wspomnienia i relacje”, zapoczątkowana dwa lata temu przez Muzeum Pamięci Sybiru, uzyskuje dzięki niniejszemu tomowi zupełnie nowy wymiar. Nie tylko dlatego, że publikujemy w nim równoległe świadectwa dwóch, a nie jednej osoby. Przede wszystkim dlatego, że zostały tu połączone dwie zupełnie różne formy literackie – prowadzony na bieżąco dziennik ojca oraz spisane po latach wspomnienia córki. Po dołączeniu do tego materiału listów, które przesyłali do siebie bohaterowie opisywanych w książce wydarzeń, otrzymaliśmy niezwykle mozaikę form i treści, która złożyła się na to wyjątkowe wydawnictwo.

Wydarzenia mroźnego poranka 10 lutego 1940 roku zmieniły na zawsze życie tysięcy polskich rodzin. Do wyznaczonych domów, gospodarstw i mieszkań wtargnęli funkcjonariusze NKWD, aby oznajmić przerażonym domownikom, że właśnie minęła ich ostatnia noc w tym miejscu. Mieli kilkadziesiąt minut, aby się spakować i przygotować do drogi w nieznaną. Drogi, na której czekało ich cierpienie, głód, ból i niejednokrotnie śmierć. Tego poranka los ten spotkał głównie osadników wojskowych i leśników wraz z rodzinami, ale podczas kolejnych operacji deportowano także przedstawicieli innych grup zawodowych i społecznych. W sumie, w czasie okupacji sowieckiej lat 1939–1941, w czterech masowych wywózkach deportowano daleko w głąb Związku Sowieckiego co najmniej 330 tys. dawnych polskich obywateli. Po doliczeniu deportacji Polaków zamieszkujących Związek Sowiecki w okresie międzywojennym, przesiedleń ludności z terenów przygranicznych w czasie II wojny światowej, osadzania w łagrach, deportacji z końca wojny i po jej zakończeniu, a także innych form represji okaże się, że liczba Polaków i obywateli polskich poddanych represjom sowieckim z całą pewnością zdecydowanie przekroczyła milion ofiar – a są to wciąż dane minimalne.

Aleksander Pawłowicz był leśnikiem. Fakt, że wybrał sobie taki, a nie inny zawód, a dodatkowo Białostoczczyznę jako miejsce pracy (pochodził z Warszawy), przesądził o losie całej jego rodziny. We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. „Wojna, nikt w nią nie wierzył, że tak blisko nas” – zapisał na początku swego dziennika. W ciągu kilku miesięcy od rozpoczęcia walk i zagarnięcia wschodniej

części II Rzeczypospolitej przez Związek Sowiecki, cała rodzina Pawłowiczów znalazła się daleko na wschodzie. Co gorsza, trafili tam oddzielnie – ojciec, matka i dzieci, w trzy różne miejsca.

Najłatwiej prześledzić gehennę Aleksandra Pawłowicza. Najgorszy jej okres podsumował już na okładce swego dziennika:

„W więzieniu białostockim cela 44 od 01.10.1939–27.03.1940
W więzieniu mińskim cela 41.4.39.88.99 01.04.1940–09.05.1941
W więzieniu połockim cela 7.10 11.05.1941–27.06.1941
W więzieniu tobolskim cela 96.215.218 16.07.1941–05.12.1941
W drodze byłem:
Z Białegostoku do Mińska 3 dni
Z Mińska do Połocka 2 dni
Z Połocka do Tobolska 19 dni (3 dni na barce)”.

To oczywiście tylko skrót, zaledwie szkielec, wypełniony w dzienniku całą masą dramatycznych, smutnych, a czasem i tragicznych wydarzeń. To również opowieść niepełna, bo w grudniu 1941 roku Aleksander Pawłowicz znalazł się wprawdzie poza murami więziennymi, ale pozostawał przecież daleko poza ojczyzną, nadal pod władzą sowieckiej policji politycznej – NKWD, która jeszcze przez długie miesiące nie pozwalała mu na połączenie z rodziną.

Jego dziennik uderza prostotą i bezpośredniością – zapewne Aleksander nigdy nie przewidywał, że poza nim ktoś kiedyś będzie te notatki czytał. Pisał na żywo, czasem dzień po dniu, a czasem dużo rzadziej – tylko wtedy, gdy miał coś do powiedzenia, albo czuł potrzebę porozmawiania z samym sobą (bo taki charakter mają niektóre z jego zapisków). O wielu ludziach, których spotykał, pisał ciepło, o innych zaś źle, bez żadnych zahamowań, ale zawsze z uzasadnieniem, dlaczego ma taką, a nie inną ocenę danej postaci.

Pisane bezpośrednio po opisywanych zdarzeniach zdania są nieraz pełne niewygasłych jeszcze emocji, „do bólu” szczere, no i zupełnie nie zanieczyszczone przez upływ czasu, który tak mocno wpływa na pisane po latach wspomnienia. Zaskakuje niejednokrotnie trzeźwość i celność osądów, z którymi i obecnie, mając znacznie szerszy ogląd oraz pełniejszą wiedzę na temat wydarzeń historycznych, nie sposób się nie zgodzić.

Aleksander Pawłowicz dostrzegał ważne wydarzenia historyczne, jednak kwitował je zwykle krótko. Więcej miejsca w swoich zapiskach poświęcał obserwacji przyrody – jako leśniczy fascynował się nią nieustannie, porównując jej każdy element do podobnego, znanego z Polski. Utraconą ojczyznę przeżywał cały czas, wspominając święta narodowe i religijne, w tym odpusty w znanych sobie parafiach. Precyzyjnie odnotowywał rocznice ważnych wydarzeń z dziejów kraju, jak i z własnych losów czy historii rodziny. Więcej pisał – a zapewne również myślał – jedynie o dwóch rzeczach: o jedzeniu, którego wciąż brakowało, a także o swoich bliskich.

Wspomnienia jego córki Marii są zupełnie inne. Ona patrzyła na tę historię z odmiennej perspektywy. Trafiła na Sybir jako młodziutka, 20-letnia panna. Tam musiała się martwić nie tylko o siebie, ale też o babcię i młodsze rodzeństwo. Czy może dziwić fakt, że więcej czasu poświęcała na próby zdobycia pożywienia, niż na obserwację zmieniającego się wraz z porami roku świata? Wciąż przywoływała w myślach matkę, której obecności i pomocy tak potrzebowała, a także ojca, o którym nie miała żadnych wieści. Toczyła trudną walkę o przeżycie własne oraz tych kilku osób, powierzonych jej opiece przez los. Dopiero przyjazd matki, wyczekiwany nieustannie, zmienił nieco jej podejście do codziennych trosk, co znalazło wyraźne odbicie w nastroju opowieści, którą snuła po latach.

Jej wspomnienia zostały spisane dopiero w końcu lat 80. Na pierwszej stronie dzienniczka, w którym zaczęła je notować, zapisała: „Na prośbę moich dzieci, a przede wszystkim zięcia Dawida, który kupił mi pamiętnik i pióro, postaram się napisać wspomnienia z mojego życia”. Nie wiedziała, że podarek ów był swego rodzaju podstępem, wymyślonym przez córkę – Annę, która bardzo chciała nakłonić mamę do spisania wspomnień. „Pomyślałam, że jeśli on [mąż – Dawid] jej da ten dziennik, presja będzie nieco większa i trudniej jej będzie odmówić pisania” – tak to zrelacjonowała Anna Klegon w liście do Muzeum Pamięci Sybiru. Dodała też, że mama pisała tylko wtedy, kiedy była sama i nikomu nie pokazywała swoich notatek. Rodzina przeczytała je dopiero po jej śmierci.

To, co łączy dziennik ojca ze wspomnieniami córki, to nie tylko wspólna historia, ale obraz uporczywej walki o ponowne połączenie rodziny. Jeszcze dobitniej widać to w treści listów, które do siebie kierowali. Dzięki nim można dokładniej śledzić ich „splątane” losy. Splątane, bo trwale połączone, nie do rozdzielenia, a jednocześnie wiodące różnymi, krętymi ścieżkami, nad którymi nie mieli czasem najmniejszej kontroli. Czytelnik znajdzie w historii tej polskiej rodziny niemal wszystko to, co przeżywali także inni Sybiracy – głód, pracę, śmierć bliskich, smutek rozstania, ale i szczęście ponownego połączenia. Są tu zarówno historie więzienne, jak też zesłańcze z syberyjskiej tajgi. Wstąpienie do Armii Andersa, a także do Armii Berlinga. Tak, jakby losy tej jednej, tytułowej, „pewnej” rodziny, symbolizowały całą tragedię polskiego, XX-wiecznego Sybiru.

Przygotowując do druku wspomnienia Marii Andrzejewskiej (z domu Pawłowicz) i dziennik Aleksandra Pawłowicza staraliśmy się w miarę możliwości nie ingerować w styl ich narracji. Usunęliśmy jedynie bardzo wyraźne powtórzenia, które – szczególnie we wspomnieniach Marii, powstających przez lata i nigdy nie poprawianych – mogłyby nieco utrudniać odbiór. Pozostałe redaktorskie ingerencje dotyczyły ewidentnych pomyłek i interpunkcji. Największą ingerencją redakcyjną było połączenie dziennika i wspomnień, przeplecenie ich według dat i opisywanych wydarzeń oraz dołączenie do nich wybranych listów. Cały materiał podzieliliśmy na rozdziały, wykorzystując częściowo tytuły

Dzieciństwo

Urodziłam się w 1920 roku w Żyrardowie. Mój dziadek, Edward Polberg, był legionistą. Został ranny i leżał w szpitalu. Chciał zrobić rodzinie niespodziankę na Święta Bożego Narodzenia i nie mówiąc nic nikomu wypisał się ze szpitala i przeszedł kilkanaście kilometrów na Wólkę Sobieszyńską, gdzie przebywała wtedy u rodziców jego żona Kazimiera Polberg i dzieci (moja mama Elżbieta i jej siostra Stacha). Przeziębził się, zachorował na galopujące suchoty¹ i wkrótce umarł. W takiej sytuacji babcia Kazimiera została u rodziców, w domu swego ojca i mego dziadka, Rafała Załęskiego. Dziadek mej matki pracował w prywatnych lasach jako leśniczy. Był powstańcem z 1863 roku.



Edward Polberg
dziadek Marii Pawłowicz



Rafał Załęski
pradziadek Marii Pawłowicz

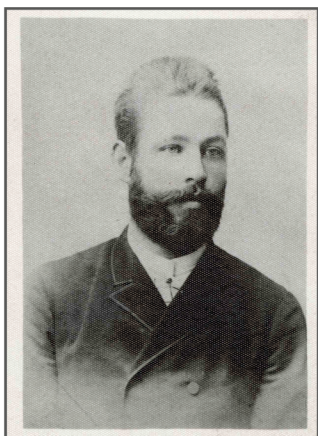
Kazimiera pomagała matce na gospodarstwie i wychowywała swoje dwie córki. Miała starających się o jej rękę. Kiedyś służąca powiedziała mojej mamie, że będzie miała innego tatę. Moja mama bardzo to przeżyła, płakała, zrywała się w nocy z płaczem i krzykiem. Rezultat był taki, że babcia nigdy już nie wyszła za mąż. Na stare lata zamieszkała u swej córki Stachy. Prowadziła gospodarstwo i pomagała w wychowaniu dwóch synów Stachy, Andrzeja i Bogdana.

¹ Suchoty – potoczne określenie gruźlicy.

Były to ciężkie czasy. Polska była pod zaborami. Dziadek Rafał miał dużą rodzinę. Wziął do siebie wszystkie wnuki, sprowadził nauczycielkę, aby zapewnić dzieciom wykształcenie. Wychowywani byli w duchu patriotycznym. Wszystkie dzieci bardzo się ze sobą zżyły. Z biegiem lat odchodziły, rozjeżdżały się na swoje gospodarstwa, tylko moja owdowiała babcia z dziećmi (z moją mamą i jej siostrą) zostały w domu. Dziadkowie zmarli, ale więź między dziećmi i wnukami została na zawsze. Stale utrzymywali ze sobą kontakt.

Dziadkowie mieszkali w Wólce Sobieszyńskiej koło Ryk. Niedaleko Wólki była miejscowość Brzozowa, gdzie była szkoła rolnicza. Wraz z uczniami tej szkoły wnuki dziadka Rafała urządzały różne patriotyczne przedstawienia i imprezy dla miejscowej społeczności. Trwało tak do czasu wyzwolenia.

Ojciec mój, Aleksander Pawłowicz, był warszawiakiem. Ojciec mego ojca, Jan, wraz z bratem Bronisławem, prowadzili firmę budowlaną. Mój ojciec miał brata Jana i siostrę Stefanię. Po śmierci mego dziadka Jana na zapalenie płuc, rodziną zajął się brat Jana, Bronisław. Ojciec mój miał wtedy 12 lat. Dzieci pokończyły gimnazja. Mój ojciec skończył szkołę leśną, a stryj szkołę rolniczą. Po skończeniu szkoły mój ojciec pojechał na praktykę do Wólki Sobieszyńskiej i odbywał ją u dziadka mojej mamy, Rafała Załęskiego oraz uczył leśnictwa w szkole rolniczej w Brzozowej. Brat ojca Jan pracował w majątkach jako zarządca. Ciotka Stefa nie pracowała, wyszła za mąż za Teofila Kordzińskiego. Babcia Aleksandra mieszkała u ciotki. Mój ojciec i stryj Jan brali udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie.



Jan Pawłowicz – ojciec Aleksandra



Aleksander Pawłowicz, 1920 rok

Moja mama Elżbieta była bardzo ładną kobietą. Jako panna miała wielu starających się o jej rękę. Lubiła się bawić, jeździć konno. Bardzo lubiła muzykę, szczególnie grę na skrzypcach. Jako młoda dziewczyna chodziła po wsi tam gdzie były wesela czy zabawy, stawała pod oknem i słuchając gry na skrzypcach, płakała.

Śmierć Eluni

W maju Elunia zachorowała – dostała gorączki i biegunki. Poszłam z nią do lekarza. Lekarzem była kobieta przywieziona z innego *posiołka*. Przechodząc przez korytarz, spojrzała na Elunię i od razu zawyrokowała: „To dziecko żyć nie będzie”. Rozpłakałam się. Gdyby nie to, że trzymałam Elunię na rękach, to wstałabym i dałabym tej babie w łeb. Tak byłam wściekła. Elunia była bardzo delikatnym i wrażliwym dzieckiem.

Elunia została w szpitalu. W dzień była z nią Hanka, ja przychodziłam na noc. Do szpitala przyniosłam pościel i pilnowałam, żeby się Elunia nie odkrywała, bo sala była ogromna i jedynie na środku stał jeden mały piecyk – „koza”, a noce były jeszcze zimne. Jeden z chorych w szpitalu odmroził sobie nogi. Elunia była w bardzo złym stanie. Lekarstw nie było, jedzenia też nie. 31 maja 1940 roku o godz. 18 Elunia umarła w szpitalu.



Elunia (Elżbieta Pawłowicz) przed wojną

Jakiś człowiek zrobił trumnę. Ubrałam ją w przykrótką, ciasną sukienkę, bo innej nie miała. Zbyszek z kolegami wykopali grób na cmentarzu, na skraju tajgi. Mimo, że był to koniec maja, ziemia była zmarznięta na półtora metra. Żeby było łatwiej kopać, odmrażali ziemię paląc ognisko. Pochowaliśmy ją małą, bezbronną, tęskniącą za domem, na obcej ziemi. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Nie napisałam mamie, że Elunia umarła – nie miałam odwagi. Wiedziałam, że ona i tak martwi się o nas, a taka wiadomość byłaby dla niej straszna. O ojcu jeszcze nic nie wiedzieliśmy. Pisałam listy do mamy, do księdza Idźkowskiego.

Teraz znowu Teresa zaczęła od nowa chorować. Na Kwitku przyszła wiosna, a wraz z nią choroby takie jak tyfus, dyzenteria³⁵, czerwonka itd. Nie było tego czym leczyć, nie było nawet odpowiedniego jedzenia, tylko *bałanda*³⁶ i czarny, gliniasty chleb. Ludzie umierali, a najwięcej dzieci. Zbieraliśmy ledwie wyrosłe pokrzywy. Dni mijały, stale żyliśmy nadzieją, że niedługo wrócimy do domu.

Na Kwitku mieszkali państwo Borkiewiczowie. Byli wywiezieni razem z nami. Pan Borkiewicz był leśniczym i tutaj też pracował w lesie. Pani Borkiewiczowa nie pracowała – była chora. Miałam koleżankę, z którą pracowałam. Nazywała się Marysia Bernatowiczówna. Bywały takie dni, że obie byłyśmy kompletnie załamane. Wtedy szłyśmy do Pani Borkiewiczowej na rozmowę. Ona jakoś umiała nas podtrzymać na duchu, a na koniec wróżyła nam z kart. Jak sobie dziś przypominam, to te wróżby były zawsze bardzo pomyślne. Wracałyśmy do baraku podbudowane – do następnego razu. Pani Borkiewiczowa pisała pamiętnik z pobytu na Kwitku. Opisywała wydarzenia każdego dnia. Pisała też wiersze. Bardzo lubiliśmy do niej przychodzić.

Dnie były coraz dłuższe, tak, że o godz. 24 było zupełnie widno. Od jakiegoś czasu zaczęły przychodzić do ludzi paczki żywnościowe. My się żadnej paczki nie spodziewaliśmy, ponieważ nie mieliśmy żadnej rodziny na terenach przyłączonych do ZSRR. Pewnego dnia listonosz przychodzi do nas z wiadomością, że jest do nas paczka. Myślałam, że żartuje. Okazało się, że mówił prawdę. Nie wierzyłam własnym oczom – adresowane do mnie. Przyniosłam do baraku, rozpakowałam, a tam był gruby kawał słoniny i półlitrowa butelka miodu oraz krótka kartka od księdza Idźkowskiego z Poświętnego. Napisał, że posyła nam słoninę wędzoną i miód. Dzieliliśmy słoninę na kawałeczki, krasiałam nią przyniesioną z kuchni *bałandę*, była smaczniejsza.

Teresa chorowała na zapalenie płuc. Lekarz nie dawał jej żadnych szans na wyzdrowienie, ponieważ choroba nie ustępowała, a gorączka spadała. W ciągu dnia w szpitalu z Teresą była Hanka, ja w nocy. Trzeba było pilnować, żeby nie ukradli pościeli, jedzenia, żeby się chory nie odkrywał. Pewnego razu jak zwykle przyszłam po pracy do szpitala. Teresy nie było na sali. Nogi się pode mną ugięły – myślałam, że umarła. Wtedy Hanka wybiegła z innej sali, w której leżeli chorzy zakaźni. Powiedziała, że Teresa dostała wysypki, że zachorowała na odrę. Jak się okazało, ta odra uratowała jej życie. Gorączka wyleczyła jej płuca.

Wróciła do baraku. Leżała w łóżku i była ciągle głodna. Budziła się rano, siadała i krzyczała: „Jeść!”. Spróbowałam dać jej cieniutki paseczek słoniny i kawałek chleba. Zjadła tę słoninę, aż jej się ręce trzęsły. Chleba nie ugryzła nawet i zaczęła płakać, żeby dać jej jeszcze słoniny. Nie wiedziałam, co robić. Zapytałam sąsiadkę, panią Kretkowską, która miała czworo dzieci, czy mogę jej dać więcej, czy jej nie zaszkodzi. Odpowiedziała, że jak jej smakuje, to na pewno jej nie zaszkodzi. Potem już zabroniono przysyłania paczek, tylko można było przysyłać listy polecane do 2 kg. Dostaliśmy takie „listy” z wędzoną słoniną kilka razy i bardzo nas poratowały.

³⁵ Dyzenteria – inaczej czerwonka.

³⁶ *Bałanda* – rzadka, „słaba” zupa.

Pracowałam wtedy w biurze i mój szef postarał się o kartkę na obiady do stołówki dla kadry. Trochę się bałam, ale powiedziano mi, że skoro mam kartkę, to się nie mam czego obawiać. Myślałam, że Teresa nie zje całego obiadu i chciałam brać do domu, chociaż powiedziano, że nie wolno wynosić. Obiad składał się z trzech dań. Zupa na mięsie, drugie danie (mięso, kartofle lub kasza, surówka). Na deser był kompot. Te obiady były obliczone na dorosłych ludzi, a Teresa mająca niecałe trzy lata zjadała wszystko. Przynajmniej po tej chorobie doszła do siebie.

Chodziłam do komendanta z prośbą, żeby się postarał, aby moją mamę przywieźli do Kwitka. Skoro jest wywieziona do miejscowości Suchobezwodna³⁷, to może być równie dobrze tutaj z nami. On na to: „Sowiecki Sojuz jest wielki i nie wiadomo, czy będzie można ją tu przywieźć”. Więcej do niego nie chodziłam.

Pewnego dnia obiegała *posiołek* wieść, że ja jestem hrabiną, a Elunia i Teresa są moimi dziećmi. Jakaś kobieta przysięgała, że widziała jak mego męża Rosjanie rozstrzelali. Musiałam się tłumaczyć, że to nieprawda i wtedy gajowi, którzy byli razem z nami wywiezieni potwierdzili, że to są moje siostry. Rezultat był taki, że postanowiono dzieci oddać do domu dziecka, a babcię do domu starców. Argumentowano to tym, że ja jestem młoda i powinnam się bawić. Raz jeden nawet zostałam doprowadzona pod karabinem do klubu na zabawę. Stało tam trochę naszej młodzieży też w ten sposób „zaproszonej”. Ponieważ nie zgodziłam się oddać dzieci ani babci, zabrano mi kartki na chleb i zupy dla babci i dzieci. Babcia jakoś ożyła i zaczęła się nawet krzątać po kajucie i pilnować dzieci. Dzieliliśmy się tym, co Zbyszek, Hanka i ja dostawaliśmy. Czasami ktoś mi dał kartkę. Było ciężko, ale co było robić? Widziałam te dzieci z domu dziecka. Głodne, chude, brudne – coś okropnego.

Dni stawały się coraz cieplejsze, ale za to zaczęły nas gryźć meszki i komary. Do pracy w lesie chodziliśmy w siatkach na twarzy, inaczej się nie dało, tak nas gryzły meszki. Wchodziły do ust, do nosa, do oczu. W lecie wywozili nas na cały miesiąc na sianokosy. Kosiliśmy trawę w tajdze, albo gdzieś koło kołchozów. Kiedy pracowałam w biurze, to z sianokosów przywozili nas pod koniec miesiąca, żebyśmy zrobili sprawozdanie miesięczne, listy płac i żeby wypłacić pensje pracownikom. Na sianokosach pilnowali nas brygadziści. Można sobie wyobrazić, co to było za koszenie skoro miałyśmy kosę w ręku po raz pierwszy w życiu. Z czasem jednak nauczyłam się kosić. Była to ciężka praca, chociażby z tego powodu, że był upał, a oprócz tego gryzły nas te meszki i komary. Nosiliśmy siatki na twarzy, ubranie z długimi rękawami i spodnie. Kto nie miał siatki, smarował się rozcieńczonym, ukradzionym z wozowni dziegciem. Na dodatek musiałyśmy uważać, żeby nie ugryzła nas żmija. Było ich tam moc, różnych wielkości. Trzeba było je obchodzić z daleka. Na sianokosach spaliliśmy pod gołym niebem, na saniach wysłanych sianem. Przed meszkami robiłyśmy sobie zasłony z gałęzi brzoźowych. Jadłyśmy też w tych budach z gałęzi, bo inaczej to zjadało się więcej meszek niż obiadu. Żeby odpędzić meszki, paliliśmy też ogniska.

³⁷ Właściwie: Suchobezwodnoje – miejscowość w obwodzie gorkowskim (obecnie: niżnienowogrodzkim).

Pewnego razu siedzieliśmy przy ognisku w dzień i jedliśmy obiad. W pewnej chwili rozległ się wrzask. Szybko wstaliśmy, patrzymy, a tu żmija czołga się do nas. Mężczyźni ją zabili i powiesili na gałęzi. Podobno gdyby została na ziemi, to by odżyła – taki był przesąd.

Jedyną przyjemnością na sianokosach były chwile wolne od pracy, tzn. zaraz po zmianie. Szliśmy wtedy nad rzekę. Prałyśmy ubrania, rozkładałyśmy je na kamieniach, a same kąpałyśmy się i łapałyśmy ryby. Woda była bardzo zimna, bo płynęła przez tajgę, a tam były miejsca, gdzie nie dochodziło słońce i w szczelinach leżał śnieg. Dla nas to było najważniejsze, że nad rzeką nie było meszki. Musiałyśmy też uważać, żeby się za bardzo nie opalić, bo przy bardzo silnym słońcu łatwo było o poparzenie.

Zorientowałyśmy się, że nasi nadzorcy, czyli brygadierzy, nie umieją obliczać powierzchni koła i trójkąta. Zawsze kazali nam kosić w kwadrat. Zaczęłyśmy oszukiwać. Same obliczałyśmy ile skosiłyśmy, zawsze dodając na swoją korzyść.



Maria Pawłowicz, Janka Fronczak, Wanda Dolińska, Syberia, sierpień 1940 roku

Kiedyś nasza brygada kosiła siano niedaleko Kwitka, koło Złotej Góry. Tam ja zajmowałam się dowożeniem żywności. Jedna z kobiet gotowała, a ja dowoziłam chleb i prowiant z Kwitka. Dali mi wóz zaprzężony w woły. Nie mogłam sobie z nimi poradzić. Zupełnie mnie nie słuchały. Potrafiły stanąć w połowie drogi i położyć się w kałuży. Zamieniałam je na konia. Nie umiałam jednak zaprząć konia w dугę³⁸. Pomógł mi w tym pewien weterynarz, zesłaniec jeszcze z epoki carskiej. Bardzo grzeczny, starszy pan. Poznałam go w ten sposób. Potem on nam bardzo pomógł, bo znał się na ziołach i robił różne lekarstwa. Dawał nam maść na odmrożenia, na świerzb, którym zaraziła się Hanka w łaźni. Do tej łaźni przywieźli Niemców nadwołżańskich³⁹. *Tiechnoruk*⁴⁰ kazał Hance i innym przyprowadzić ich do łaźni i potem doprowadzić z powrotem do wagonów, którymi wieźli ich gdzieś dalej na północ. Męczyliśmy się z tym świerzbem dłuższy czas.

³⁸ Duga – inaczej duha; element uprzęży.

³⁹ Niemcy nadwołżańscy – grupa etniczna powstała wskutek napływu do Rosji ludności niemieckiej w drugiej połowie XVIII wieku, będącego efektem manifestu carycy Katarzyny II zapraszającego do zasiedlania Powołża. Od połowy lat trzydziestych coraz częściej represjonowani, w tym deportowani pod różnymi pretekstami, związanymi najczęściej z kontaktami zagranicznymi, takimi jak np. szpiegostwo czy szeregienie antysowieckiej propagandy. Po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku Niemcy nadwołżańscy jako cała grupa zostali deportowani na Syberię i do Kazachstanu.

⁴⁰ Skrót od: *tiechniczeskij rukowoditiel*; tłumaczenie z rosyjskiego: kierownik techniczny.